

## Wspomnienia z dzieciństwa (cz. 6)

### Powrót do Polski

Późną jesienią czterdziestego piątego roku otworzyła się możliwość wyjazdu do Polski. Matka nie pojechała z nami w pierwszym rzucie. Uważała, że jej posłannictwem aż do końca było organizowanie transportów Polaków z obwodu dniepropietrowskiego. Zresztą ona za cokolwiek by się brała, rzucała się w to z całą pasją i zaangażowaniem. Nie istniały dla niej wówczas jakieś osobiste sprawy. Opuściła Sowiety dopiero po zorganizowaniu ostatniego oficjalnego wyjazdu. Zbyszka i mnie wysłała wcześniej, w towarzystwie babci Luci.

Podróż do Polski rozpoczęliśmy w lutym czterdziestego szóstego roku. Pociąg często się zatrzymywał, ponieważ jeździły wielkie transporty z wojskiem i uzbrojeniem – szczególnie na wschód, gdzie żołnierze wracali z Niemiec. My nie byliśmy ważnym przewozem, musieliśmy ustępować im drogi. Zdarzało się, że staliśmy na małych stacjach czy bocznicach kilka dni, albo i tydzień. Przepychaliśmy się pomału, od stacji do stacji. Na pierwszy rzut oka warunki jazdy były takie jak w drodze do Kazachstanu: *tiopuszki* – to znaczący bydlęce wagony z narami, piecykiem po środku. Teraz jednak mieliśmy do piecyka opał, a zaopatrzenie w żywność było świetne. Do wagonów dochodziły paczki UNRRA, konserwy rybne i mięsne, *swinnaja tuszonka*... Na poszczególnych stacjach starostowie wagonów odbierali chleb. Było go sporo, głód nikomu nie doskwierał.

Podróż trwała około trzech miesięcy. Granicę z Polską przekroczyliśmy niedaleko Przemyśla. Z okien pociągu ujrzeliśmy żołnierzy na polu ćwiczeń. Byli na koniach, w żółtych otokach. Polskie znaki, polska kawaleria – to było Wojsko Ochrony Pogranicza. Wszyscy w wagonie jak jeden mąż wstaliśmy i odśpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła”. Płakaliśmy z radości, ze wzruszenia. Dla mnie i Zbyszka, wychowanych w kulcie konia i szabli w rodzinie oficerskiej, był to szok. Przypomniałem sobie nagle nasze mieszkanie przy koszarach, gdzie ojciec był instruktorem konnej jazdy i nieustannie widziało się konie i szermierkę, ćwiczenia z szablami. Dość, że wszyscy w transporcie stali na baczność, śpiewali hymn i płakali.

Przyjechaliśmy do Opolą i tu nas rozsypano. Dalej już trzeba było sobie radzić samemu. Ale co robić? Dokąd się udać? Nagle babcia Lucia przypomniała sobie, że przed wojną jakaś rodzina

mieszkała na Białostocczyźnie. Michał Jaroszewicz, zamożny chłop, którego poślubiła siostra dziadka Czesława, Jądwiaga, miał gospodarstwo w Rafałówce, w powiecie Zabłudów. Babcia pamiętała też, że ktoś z rodziny Jaroszewiczów był grabarzem. Posłaliśmy Zbyszka na poszukiwania, jako naszego delegata. Wypytywał o zakłady pogrzebowe, a ponieważ było ich tylko dwa lub trzy, dość szybko ową rodzinę odnalazł. Za ich



Władysław Podworski

pośrednictwem nawiązaliśmy kontakt z Rafałówką.

Długo jeszcze trwała podróż przez Polskę. Jechaliśmy przez Warszawę do Białegostoku. W Rafałówce zastaliśmy ciotkę Jadzię z synami Andrzejem i Bogdanem, oraz córką – ale nie Anię, bo Ania wciąż pozostawała w armii. Gospodarstwo Jaroszewiczów uległo w

czasie wojny dewastacji, tylko dom pozostał praktycznie nie zniszczony. Był duży, składał się z co najmniej sześciu pokoi. Zamieszkaliśmy więc z bratem i babką u Jaroszewiczów. Ciocia przyjęła nas gościnnie. Poszliśmy do szkoły. Gospodarstwo było na kolonii, toteż na lekcje szliśmy kawałek drogi do wsi, przez łączkę. Szkoła była typowo wiejska – cztery klasy w jednym pomieszczeniu. To była moja pierwsza w życiu polska szkoła. Strasznie kaleczyłem polski język; znacznie lepiej mówiłem po rosyjsku. Zamierzałem w ciągu jednego roku zrobić dwa, ale tak się stało, że piątą klasę skończyłem już w Olsztynie.

W szkole w Rafałówce była młoda nauczycielka, która przyjechała ze zniszczonej Warszawy. Sama straciła tam wszystko. Opowiadała dużo o stolicy – przedwojennej, z czasu wojny, oraz obecnej, zrujnowanej. Śpiewała taką cudowną pieśń: *Warszawo, ty moja Warszawo... Jak dobrze bez celu się przejść Marszałkowską, na Wisłę popatrzeć się z mostu...* Śpiewała i płakała. Oczarowani jej urodą – bo ona była piękna jak ikona – oraz wzruszeni piosenką, płakaliśmy również, dziewczynki i chłopcy... Cała klasa ryczała jak bóbr przy tej piosence – opowieści o Warszawie. To jeden z owych momentów, których człowiek nie zapomina do końca życia.

Tymczasem po kilku miesiącach odnajdujemy przez Czerwony Krzyż rodzinę ojca. Okazuje się, że wuj Władysław Podworski mieszka obecnie w Olsztynie. Podworski pochodził z tatarskiej rodziny książęcej. Choć polscy Tatarzy – to znaczy ci w służbie Rzeczypospolitej – stanowili grupę etnicznie niewielką, zamieszkującą w kilku zaledwie wsiach, byli wśród nich książęta. Jako fachowiec wuj Władysław był inżynierem kolejnictwa, świetnie usytuowanym w przedwojennej Warszawie.

Po wojnie został naczelnikiem Wydziału Maszynowego Dyrekcji Kolei Państwowych na okręg Olsztyn-Białystok, która mieściła się w przepięknym porencyjnym gmachu, obecnej siedzibie Urzędu Marszałkowskiego. Otóż kolejarze przyjeżdżali do Olsztyna w pierwszym rzucie, zaś Podworski organizował służbę mechaniczną, czyli to, co stanowi serce kolei: parowozownie, transport, itp. Potem został z hukiem wylany z posady, kiedy, jako przedwojenny jeszcze socjalista, odmówił wstąpienia do nowej partii w procesie łączenia PPS i PPR. No, ale to już dalsza historia. Nawiasem mówiąc, moja ciotka Ewa-Ewelina (używała obu imion), choć wielce pobożna katoliczka, aby wziąć



Ewelina Podworska



Bohdan i Zbyszek jako harcerze, 1948



Maryla, Stanisława i Kazimiera Kurowskie (zdjęcia z lat 1940-tych)

ślub z Podworskim musiała przejść na kalwinizm – wzorem marszałka Piłsudskiego! Bo wiadomo, Kościół katolicki nie pozwala na powtórne śluby.

Dość, że to właśnie Podworscy ściągnęli do Olsztyna moje pozostałe ciotki – trzy rodzone siostry ojca, Marylę, Stanisławę i Kazimierę<sup>1</sup>. Prawie wszyscy członkowie rodziny przyjechali do Olsztyna z Warszawy. Większość przeszła powstanie, obóz w Pruszkowie; Kazimierę wywieziono na roboty przymusowe do Niemiec. Obecnie wszyscy pozbierali się w Olsztynie.

Jako dyrektor kolei państwowej, wuj miał do dyspozycji salonkę, czyli rodzaj luksusowego wagonu mieszkalnego, którym podróżują ważne osobistości. Były w nim fotele, miejsce do spania i inne wygody. Ową salonką wuj przyjechał po nas do Zabłudowa – po czym z wielką klasą, przybyliśmy wraz z nim, czyli panem inżynierem Podworskim, do Olsztyna. Olsztyn był więc pierw-

szym polskim miastem – zresztą tak zwanym „odzyskanym” – któremu mogliśmy się po wojnie przyjrzeć. I doznaliśmy szoku. Starówka była zburzona, wszędzie ruiny, kikuty spalonych domów. Zatorze też było całkowicie spalone. Ocalało kilka mieszkań. Buszowali szabrownicy, ścigał ich specjalny urząd. O ile pamiętam, już we wczesnych latach pięćdziesiątych architekt Edward Michalski zaprojektował odbudowę Starego Miasta. Z XVII wieku zachowały się jedynie dwie czy trzy kamieniczki, natomiast to, co powstało, było stylistycznym nawiązaniem do dawnej starówki. Spalony Stary Ratusz wciąż pozostawał w ruinie, ale kamieniczki wokół były już odbudowane – cała strona pod arkadami. Potem zaczęto odbudowę w głębi starego miasta. Wkrótce odbyło się uroczyste uruchomienie linii tramwajowej. Braliśmy w nim udział i dostaliśmy się na pierwszy tramwaj linii Dworzec-jeziorno Długie. Druga linia,

która powstała nieco później, jeździła spod ratusza do Jakubowa.

Pomimo zniszczeń, miasto tętniło życiem politycznym. Każdego dnia na ulicy pojawiał się gazeciarz i wołał: „Gaaazeta Ludowaaaa, pismo wicepremiera Mikołajczyka! Gaaazeta Ludowaaaa, pismo wicepremiera Mikołajczykaaaa!” Atmosfera polityczna przed referendum bardzo nas ze Zbyskiem podniecała. Wiedzieliśmy, że Mikołajczyk to opozycja polityczna. Postanowiliśmy zapisać się do PSL. To była nasza wewnętrzna potrzeba, bo całym sercem byliśmy w opozycji, nastawieni absolutnie antykomunistycznie. I zresztą bardzo patriotycznie, co wiązało się z tradycją rodzinną – ojciec oficer, przodkowie-ziemieństwo z Kijowszczyzny... Nasza postawa nie wynikała jednak z jakichkolwiek uprzedzeń narodowościowych – ani antyrosyjskich, ani antyukraińskich. Nie mieliśmy takowych, chociażby dlatego, że w kazachstańskim sowchozie, z którego



przyjechaliśmy, panował wielonarodowy tygiel. Na naszą antykomunistyczną postawę wpłynęło doświadczenie w Sowietach – bo tam widzieliśmy, jak ów system wygląda w rzeczywistości. Byliśmy też pod wpływem harcerstwa, które zaraz po wojnie pozostawało nośnikiem tradycyjnych wartości patriotycznych i religijnych.

Ewentualność komunizmu w Polsce w ogóle się w tym wszystkim nie mieściła. Polska, do której wróciliśmy, miała być krajem demokratycznym – Rząd Tymczasowy i tak dalej... Więc gdy owi gazeciarze krążyli po ulicach, doszliśmy z bratem do wniosku, że trzeba coś zrobić, przyczynić się politycznie do utworzenia odpowiedniej Polski. Mieszkaliśmy wtedy na Mazurskiej (dzisiaj Dąbrowszcza-ków). Biuro PSL-u mieściło się niedaleko, przy ulicy Kajki. Zgłosiliśmy się.

– Bardzo ładnie, chłopcy – powiedziano nam. – Ale my przyjmujemy tylko dorosłych. Wy możecie wstąpić do Związku Walki Młodych. Tam was przyjmą.

Już jednak nigdzie się nie zgłaszaliśmy.

Pozostawaliśmy na utrzymaniu ciotek. Dwie z nich pracowały w Czerwonym Krzyżu, Maryla jako urzędniczka, a najmłodsza Kazimiera jako pielęgniarka. Stanisława uczyła w szkole. Wszystkie trzy były starymi pannami – i nieustannie się ze sobą kłóciły. Po jakimś czasie Zbyszek zamieszkał w innym punkcie miasta, u wujostwa Podworskich, którzy go przyjęli na wychowanie. Podworscy byli rodziną bardzo antykomunistyczną, z powiązaniem jeszcze AK-owskimi. Ja natomiast zostałem u owych trzech ciotek. Wszystkie były członkami PPS-u, a po czterdziestym ósmym roku wstąpiły do PPR-u; wreszcie, po zjednoczeniu, do PZPR-u. Szczególnie ciotka Kazimiera, która komunizowała jeszcze przed wojną, pozostała ideową działaczką.

W 1946 r. ulicę, przy której mieściło się trzypokojowe mieszkanie ciotek, przemianowano na „Józefa Stalina”. Mieszkaliśmy pod numerem 29, lokal 3. Nieopodal znajdowało się biuro Czerwonego Krzyża, a naprzeciw sklep rzeźnika i zakład fryzjerski. Chociaż miałem własny pokój, było ciasno. Bezpośrednio po wojnie zamieszkała też z nami matka mojego ojca i ciotek, Maria Kurowska. Zmarła w czterdziestym siódmym, właściwie na moich oczach.

Usłyszałem wołanie — Jezu! Jezu! Jak wpadłem do pokoju, babcia już nie żyła.

Na początku września powróciła z Sowietów matka. Pobyt na Ukrainie fatalnie wpłynął na jej zdrowie. Już przed naszym wyjazdem z Ukrainy cierpiała na postępującą gruźlicę. Proponowano jej leczenie na Krymie, ale ona się nie zdecydowała. Penicylina wciąż była mało znana. Kiedy pociąg matki dotarł wreszcie do Olsztyna, znieśliśmy ją z wagonu na noszach. Po tym właściwie już nie wstała. Po paru tygodniach zawieziono ją do szpitala zakaźnego w Morągu. Kiedy odwiedziliśmy ją tam,



Zofia i Witold Kurowscy z synem Zbyskiem, 1932

Witold Kurowski (z lewej) w Kompaniach Wartowniczych we Włoszech, 1945 (błąd redakcji w podpisie)

nie mogła mówić, bo choroba zaatakowała jej gardło. W pewnym momencie zdołała jednak powiedzieć:

– Nie martwcie się, chłopcy... Ja śpiewam.

– A co śpiewasz, mamo?

– Serdeczna Matko... opiekunko ludzi.

Ona sobie śpiewała w myśli „Serdeczna Matko, opiekunko ludzi.” Wyszliśmy od niej w stanie niezwykłego, radosnego pobudzenia – że wszystko będzie dobrze, że mama na pewno wyzdrowieje. To było coś zdumiewającego. Matka potrafiła umierać w taki sposób, że podczas naszych ostatnich odwiedzin dodała nam otuchy, wpoila w nas radość. Wracając potem ze Zbyskiem z Morąga, całą drogę w pociągu śpie-

waliśmy. To były stare rosyjskie pieśni, tak zwane *blatnyje*, czyli ballady, na przykład złodziejskie, których nauczyliśmy się w Sowietach. To był nasz ulubiony repertuar. Wróciliśmy do domu w przekonaniu, że zdarzy się jeszcze cud, że matka się z tego podniesie. Nazajutrz przyszła wiadomość, że ona nie żyje. Naszą pierwszą reakcją było to, że padliśmy na kolana i z całego serca modliliśmy się wspólnie, przez długi czas. Potem pojechaliśmy nad jezioro, wynajęliśmy łódkę i przez parę godzin pływaliśmy we dwóch, wiosłując intensywnie i nadal śpiewając w radosnym podnieceniu. Próbowaliśmy oswoić się z tym, że mamy już nie ma.

Taki nastrój wprowadziła wokół swojej śmierci moja matka. Zmarła we wrześniu 1946 roku. Miała trzydzieści sześć lat. Przed jej śmiercią Krajowa Rada Narodowa przyznała jej Srebrny Krzyż Zasługi. Na owe czasy to było wysokie wyróżnienie, ponieważ były to pierwsze cywilne odznaczenia, jakie w ogóle przyznawano. Potem będzie to miało bardzo duży wpływ na nasze powojenne losy, moje i szczególnie Zbyszka.

W chwili śmierci matki miałem około trzynastu lat. Mój ojciec w tym czasie przebywał w Szkocji, gdzie znalazł się po wojnie. Po wyzwoleniu z oflagu służył w amerykańskich Kompaniach Wartowniczych, a następnie dołączył do armii Andersa we Włoszech. Ponieważ znał angielski, został adiutantem angielskiego komendanta przewożącego wojsko polskie z Włoch do Szkocji. Po rozwiązaniu wojska pozostał w Anglii. Wymienialiśmy z nim korespondencję, namawialiśmy go do powrotu do kraju. On jednak się nie zdecydował. Nawet mieliśmy mu to za złe, lecz on nie mógł w korespondencji pisać o powodach swojej decyzji.

*Źródła: nagrania i dokumenty pozostawione przez Bohdana Kurowskiego.*

*Spisanie oraz redakcja tekstu:*

**dr Joanna Kurowska**

1. Według zapisków Kazimierzy Kurowskiej, po powrocie z przymusowych robót w Niemczech ona sama (tj. niezależnie od Podworskich) przybyła do Olsztyna, jako pielęgniarka, aby wraz z dziesięcioosobową ekipą zakładać tu punkt PCK. Następnie ściągnęła do Olsztyna siostry Marylę i Stanisławę. (Źródło: archiwa rodzinne)